№ 2. Piątek, dnia 9 Października 1874 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA
dnia 27 września (9 października)
1874 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. **4** kop. **50**; miesięcznie k. **38**.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. **6**; —
kwartalnie rs. **1** kop. **50**.

REDAKCYA
przy ulicy Bielańskiej
Nr 8 nowy.

Haliczanin - Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIEŃ

K. Wł. Wójcickiego.

(Ciąg dalszy).

3. Marko i Wila. [1]

Mirockich gajów wieczornem zacieniem,
Dwaj przyjaciele ciągnęli najszczersi:
Marko Królewicz, potężny ramieniem,
I wierny *Miłosz* z wieszczej sławny piersi.
Gnają rumaki, ostre sterczą włócznie,
Sciska brat brata i tak mówić pocznie:
— „Drogi Miłoszu, bracie, Wojewodo!
Serce mi cięży, umysł sen przygniata,
Spiewaj! — i pieśnią rozbudź duszę młodą!„
Ale się Miłosz odzywa do brata:
— „Królewski Marku, jasne słońce moje,
Z duszy bym spiewał, lecz się śpiewać boję:
Wczoraj w tych gajów godując zaciszy,
Rawiolskiej Wili ten zakaz słyszałem:
„Jeśli pieśń moję raz jeszcze usłyszy,
„Pierś mi i gardło przeszyje postrzałem."
— „Śpiewaj mi bracie! wzgardź groźbą nikczem-
Silny głos Marka rozległ się przez bory, [ną."
Póki ja Marko i *Szaracz* [2]) podemną,
I w moim ręku bułat sześciopióry."
Śpiewał więc pieśni słodko i wymownie,
Starsze od naszych i lepsze nierównie:
Piał jasnych książąt w przesławnej krainie,
I grody królów i Bogów świątynie:

A Marko słodką pieśnią rozmarzony,
Snem ciężkie czoło ku siodłu nachyla,
Sparł się — i usnął. Posłyszała tony
I zgłębi lasu odśpiewuje *Wila*.
Mile, *Rawiolskiej* brzmiały pieśni *Wili*,
Lecz Miłosz śpiewa i słodziej i milej.
Rwie się i zżyma *Wila* rozgniewana,
Lotem w *Mirocza* przyskakuje gaje,
Dwiema strzałami dwa ciosy zadaje,
Przeszywa serce i gardło młodziana.
— „Ach! Marku ratuj, raniony wyrzeka,
Wiedziałem wcześnie, że mnie śmierć tu czeka,
Słyszałem groźby i śpiewać nie chciałem!"

Zrywa się Marko, żar mu z oczu błyska,
Chwyta *Szaracza* całuje i ściska:
— „Dalej mój ptaku! chyżym leć mi lotem
Gdy tę Rawiolską dościgniesz mi żmiję,
Srebrem i jasnem podkuję cię złotem,
Sutym jedwabiem do kolan okryję,
Kutasy zwieszę od kolan do ziemi,
A grzywę perły uplotę lśniącemi:
Gdy niedościgniesz, biada ci! — to ramię
Wydrze ci oczy i nogi połamie,
Ślepy i chromy gorzkie spędzaj lata,
Tak jak ja Marko, bez druha — bez brata!"

Wskoczył na siodło, puścił się jak strzała,
Drzy pod nim ziemia, lecz pusto w *Miroczu*;
Rawiolska *Wila* zniknęła mu z oczu,
Lekkiemi stopy nad błonia wzleciała.
Dostrzegł ją *Szaracz*, inny bieg rozpocznie,
Trzy skacze w górę, naprzód cztery włócznie,
Wyżej i wyżej silny lot rozpręga,
Skoczył za *Wilą* i tuż jej dosięga.
Strach padł na *Wilę*, więc rączemi skoki
Chyża wietrznica ulata w obłoki,
Ale wnet Marko lot jej wstrzyma skory,
Wypuszcza z ręku bułat sześciopióry;
Rzut był niechybny, i oto śród błonia,
Bułat i *Wila* upada wpół żywa,
A Marko szybko zeskakuje z konia,
Podwaja razy i tak się odzywa:

— „Zaco mi druha zabierasz ze świata?
Zaco Miłosza przebiłaś mi strzałą?
Jeśli chcesz w bory głowę unieść całą,
Idź, zbieraj zioła i ulecz mi brata!"

— „Ach Marku, bracie! puść mnie, (*Wila* woła)
Przez miłość boską, puść, niech idę żywa!"
Puścił, więc poszła i przyniosła zioła;
Zdrów wstaje Miłosz, i pieśń starą śpiewa.
Wila w zielone powraca dąbrowy,
Z bratem Miłoszem Marko jedzie dalej,
Porecką ziemią przez *Tymok* jechali [1])
I wnet w *Beregu* [2]) zamierzchli parowy.
Do sióstr się *Wila* odzywa w te słowa:
„O! drogie siostry! niech was Bóg uchowa
Serca młodzianów strzałą ranić szparką,
Póki ramieniem silny włada Marko,
Dopóki pod nim *Szaracz* lata skory,
I w jego ręku bułat sześciopióry;
Gniew jego straszny i siła straszliwa,
Jam jej doznała, i ledwie żem żywa.

Ktokolwiek zna w oryginale utwory poetyczne ludu serbskiego, ich malowniczość, zwięzłość i prostotę, ten przyzna, że przekład A. Bielowskiego, wszystkie te przymioty zachował, przystroiwszy je nadto we wdzięczną formę rymowanego wiersza i pięknego języka. Stąd też Kazimierz Brodziński, wyborny znawca poezyi ludowej i sam doskonały tłómacz pieśni czeskich i serbskich, z uniesieniem powitał te przekłady w Haliczaninie, a Zygmunt Krasiński, Dominik Magnuszewski i Konstanty Gaszyński, najbliżsi z sobą przyjaciele, z zapałem je na przemiany deklamowali.

Z oryginalnych jeszcze utworów, wspomnieć muszę mały wierszyk Bielowskiego, p. n. *Ziewonia*, przypominające bóstwo słowiańskie, ożywiające wszelkie istoty, albowiem we trzy lata później pod tem imieniem wydany noworocznik we Lwowie, był zapowiedzią obudzenia się nanowo życia duchowego w Galicyi.

Obok Bielowskiego i Leszka Borkowskiego, z młodych poraz pierwszy występujących pisarzy: Ludwik Nabielak oprócz oryginalnych poezyi, daje tu w tłómaczeniu sześć *Sonetów Petrarki*, a przy nim Żegota Kikiewicz, przekład ód *Horacego* umieszcza. Pomieniony Leszek Borkowski drukuje balladę szwedzką

---

[1]) *Wila* jedna z istot mitologicznych, Nimfa, Rusałka, częste jej stosunki z ludźmi, opiewają rozliczne pieśni Serbów. Prócz innych przymiotów, jakie jej lud tej krainy przydaje, zna się ona na ziołach i posiada sztukę leczenia. — *Marko Królewicz*, syn króla *Wukaszyna*, który po śmierci Cara Duszana, ogłosił się panem Macedonii i Akarnanii. Żył w drugej połowie XIV wieku. Znaczna część pieśni Serbskich opisuje jego nadzwyczajną siłę i męstwo w różnych przygodach. Zdaniem ludu Serbskiego, żył on bardzo długo, żyje nawet i teraz, lecz od czasu wynalezienia prochu, kryje się po lasach i górach, albowiem lada dziecko, mógłoby mu życie odebrać.

[2]) *Szaracz*, koń królewicza Marko.

[1]) *Porecz*, wyspa na Dunaju, do Serbii należąca. *Tymok*, rzeka, płynie między Serbią a Bulgaryą.

[2]) *Bereg*, wieś.

w dwóch częściach, nacechowaną poetyckim talentem. Bronisław Szołajski, Ludwik hr. Jabłonowski, Józef hr. Borkowski (brat Leszka)' umieszczają oryginalne poezye. Nie pominął *Haliczanin* i wdzięcznego pieśniarza, którego w owe czasy nazywano „*Polskim Beranżerem.*" Był to znany Stanisław Doliwa Starzyński.

Podamy tu parę pieśni, pierwszą p. n. *Dumka podolska*, bo ona służyła za osnowę do przeróbek licznych, które w Galicyi powszechnie w latach 1832—1836, śpiewano po ziemiańskich dworach.

„Na wschód patrząc swym zwyczajem,
Czego płacze to pacholę?
Tęskni pono za swym krajem,
A tym krajem jest Podole.
A w tym kraju jest włość skromna,
A w tej włości miły domek,
I kochanka tam niepomna,
Że ją kocha tęskny ziomek.
Otarł oczy, westchnął zcicha,
Przeklinając swą niedolę,
Ciągle za swym krajem wzdycha,
A tym krajem jest Podole!

Druga p. n. *Śpiewy Gminne*, była jakby zapowiedzią ogólnego zapału w zbieraniu pieśni ludowych, które się wkrótce w licznych zbiorach ukazały.

„Mej ojczyźnie choć życzliwy,
Nie niosę jej złotych danin,
Chętnie jednak gminne śpiewy,
Składam tęskny Podolanin.
Śpiewy gminne, nie przemocy
Lecz udręczonych pochlebce,
Jakie mgłej dziecinie w nocy,
Kwili matka przy kolebce.
Śpiewy gminne na przemianę
Żalem i nadzieją tchnące,
Nieszczęśliwym pożądane
I bolesne i rzeźwiące,
A szanowne jak przymierza
Cześci ojców, z cześcią synów,
Jak ziarno, które powierza
Wiek wiekom na plon wawrzynów."

Wśród tylu różnorodnych przedmiotów znajduje miejsce i powieść. Eugeniusz Brocki daje nam w tej gałęzi dwa swoje oryginalne utwory „*Opryszki w Karpatach*," z podań gminnych, zdarzenie około roku 1680, i „*Najświetniejsza epoka Kapliniec*," (wieś nad Strypą w obwodzie Brzeżańskim w Galicyi), zdarzenie z roku 1649.

Obiedwie powieści, małej wartości, kolorytu właściwego nie mają, godna wspomnienia tylko *Pieśń Opryszków*, napisana przez J. N. Kamińskiego, jak mi sam opowiadał, naśladowana z właściwej pieśni ruskiej tych tatrzańskich rozbójników:

Ciągną chmury, a śród chmur,
Pragnie deszczu kania;
W czarnej puszczy naszych gór,
Wolna buja łania,
Buja łania, buja koń,
Hej opryszki, bijmy w dłoń!

Już rozwinął *brodę stryj* [1])
Nabijmy siekierki,
Weźmy w mańkut ważny kij,
Niech sypie iskierki. [2])
Imię nasze ochrzcił strach,
Dadzą grosza pop i Lach!

Świeć miesiączku, miło świeć,
Wychodź z lasu przodem:
Jutro będziesz z nami pić,
Gorzałeczkę z miodem.
Gorzałeczkę, pieprzny miód,
Lubiał zdawna górny lud.

Możnaż w świecie lepiej żyć,
I mieć lepszą dolę?
Gorzałeczką głowę myć,
A suszyć na kole?
To mi odpust, to mi blich,
On wypierze każdy grzech.

Niechaj tchórzów straszy kół,
Straszy szubienica,
Psem opryszek, coby czuł,
Gdzie jaka różnica.
Chociaż w sidła wpadnie gil,
Śmiało dynda kilka chwil."

[1]) Tak nazywają rozwinięty las na wiosnę.
[2]) Na pniu nacinają rosnące drzewka i nasadzają krzemieniem, z których robią pałki.

Tom drugi tego pisma zbiorowego kończy się wspomnieniem pośmiertnem *Klemensa Boguckiego*, tłómacza *Don Karlosa* Szyllera, i kilku dramatów Szekspira, który w kwiecie wieku, bo licząc zaledwie rok 25 życia, zmarł z powszechnym żalem.

Za godło swoje wziął *Haliczanin* wymowny wiersz J. N. Kamińskiego.

„Czas ziomkowie— już na dobie,
Klejnot prawdy czyścić z błędu;
Czas jąć topór w dłonie obie,
W błąd poważny ciąć bez względu.
Niech ten bałwan, jak dąb w puszczy,
Gdy go w ciemię grom uderzy,
Wszczęt strzaskany, w piorun wierzy.
Albo idzie w podziw—tłuszczy!"

Wydawca zaś i redaktor, we wstępie swoim tak się z pewną goryczą wyraża:

„*Haliczanin*" uważając nieograniczony świat wiedzy ludzkiej z tego szczególniej stanowiska, i trzymając się tej prawdy, iż najgodniejszem człowieka powołaniem, jest wznoszenie się coraz wyższe w umysłowej pojęć krainie ku doskonaleniu niezliczonych jego usposobień, pragnąłby ziomków szczególniej ku temu pociągnąć i być zbiorowym składem tego, co swojem światłem i swojem usiłowaniem zdziałają. Lecz ileż innych do tego pobudek. Nie uszło zapewne uwagi tych, którzy z literaturą nowszą bliżej obeznani, z jak śmiałem uroszczeniem i z jak wysoka pogląda na nas Warszawa. Czem w swoich oczach chce nas mieć pod względem literatury i języka, dosyć gdy przytoczę jeden przykład z Nru VI *Gazety Korespondenta* z 1829 r., gdzie w doniesieniu o śmierci Zaborowskiego, bez zarumienienia się wyrzec śmiano: „*Tymon Zaborowski, znany z wielu poezyi swoich ogłoszonych drukiem, lubo zamieszkały w Galicyi, jednakże językiem i pracami swojemi należy do naszego naukowego świata.*"

Nie jest to zapewne głos powszechny, ani światłych ludzi zdanie, ale cóżkolwiek bądź, jest zawsze dowodem śmiesznego uroszczenia i zarozumiałości piszącego, przeciw któremu nikt się nie odezwał. I jakiż to jest ten inny język, ten inny świat naukowy, któryby wraz

U OGNISKA.

Malarstwo nasze dotkliwą poniosło stratę przez śmierć Maksymiliana Gierymskiego, który w dniu 19 września zmarł w Reichenhall, gdzie bawił chwilowo dla poratowania nadwątlonego zdrowia. W chwili śmierci liczył dopiero lat dwadzieścia osiem. Gierymski należał do nielicznego zastępu pracowników na polu sztuki, obdarzonych rzeczywistym talentem i to talentem samodzielnym. Obrazy jego, do których treści szukał w życiu, w których odtwarzał sceny wzięte z chwili obecnej, odznaczają się i wyróżniają od innych niezwykłą prostotą pomysłów i skromnością środków technicznych, użytych dla wywołania efektu. A jednak pomimo to, prace jego tchnęły prawdą i wywoływały na patrzącym silne a nieraz i głębokie wrażenie. Studya swoje malarskie rozpoczął Gierymski w Warszawie, a obecnie przebywał stale w Monachium, gdzie nie przestawał się kształcić w obranym zawodzie. Dotychczasowe jego prace wykazały w nim artystę myślącego, miłującego w sztuce prostotę i prawdę i odtwarzającego je z istotnym talentem. Przy takich warunkach, choć młody, z tego co obiecywał dużo już dotrzymał i pewną prawie dawał rękojmię, że w przyszłości dotrzyma jeszcze daleko więcej. Dziś, gdy śmierć przedwczesna wydarła go z pośród żyjących, kończąc to krótkie wspomnienie, godzi się powiedzieć o nim, iż nie zmarnował danych sobie darów, nie zgasił świętej iskry, jaka w piersiach jego tlała, a na ziemi, której był synem, pozostawił w pracach swoich trwałe i zaszczytne wspomnienie, krótkiego swojego żywota.

Wiele osób szczególniej uboższych, zmuszonych jest nieraz przedać zniszczone swoje odzienie, zużyte lub niepotrzebne sprzęty w celu zaspokojenia swych codziennych potrzeb; często też bardzo, niekorzystne okoliczności znaglają niejednego do pozbycia się swych ruchomości. Przedać je koniecznie potrzeba, a więc przedaje się za bezcen, za małą cząstkę rzeczywistej wartości. Najczęściej takie przedmioty znajdują pokup pomiędzy starozakonnymi, którzy w znacznej liczbie odwiedzają dziedzińce, szczególniej uboższych dzielnic miasta. Spekulacya takich handlarzy, korzystających z krytycznego położenia przedawcy, usiłuje wyciągnąć jak największe możliwe zyski, stąd też przedający narażany bywa na znaczne straty. Zapobiedz temu, choć w części, może urządzenie sali licytacyjnej, w którejby w pewnych stale oznaczonych godzinach dnia dopełniała się publiczna licytacya, bo w taki sposób odbywana przedarz może li-

nie był i naszym i nie należał do nas? W czemże ta różność, którąby dawała prawo, lepsze ziomków naszych twory uważać jakoby wyłączną, uprzywilejowaną własność drugiej krainy? Wolno nam zatem odezwać się śmiało w sprawie języka i literatury ojczystej. Lub jeżeli chodzi o imiona, będące zaszczytem naszego naukowego świata, i my wykazać możemy Ossolińskich, Siarczyńskich, Fredrów, Kamińskich i wielu innych, którzy już genialnemi swemi płodami, już nieznużoną o język i literaturę gorliwością, na pamięć i wdzięczność zasługują ziomków, a których towarzystwa uczone w Warszawie, Krakowie, i w. i. poczytują sobie za chlubę w gronie swojem policzyć. Zresztą to świeże i coraz żywsze wzbijanie się w różnych gałęziach nauk, a mianowicie w poezyi i filozofii, które w teraźniejszych czasach, coraz widoczniej się jawi, czyliż naród Warszawie jest winien? Nie zaiste! winniśmy je szczególniej temu szlachetnie żarliwemu duchowi, który pokolenie nowsze poprowadził z szczerej za lepszem dążności na niwę obcych zasobów, a tu dzieje literatury naszej Galicyanom wyższe przeznaczą miejsce."

Przyjmujemy pobłażliwie ten ustęp, lubo zaprzeczyć nie możemy, że głuchą ciszę literacką pierwszy dopiero *Haliczanin* rozbudził, bo zaprawdę oprócz kilku wymienionych powyżej imion, cała społeczność jakby snem letargicznym ujęta, spoczywała. Żadne pisma peryodyczne, oprócz *Gazety Lwowskiej* i *Czasopisma imienia Ossolińskich* nie istniały, któreby albo odźwierciadlały życie tej społeczności, lub mogły jej potrzeby duchowe i ekonomiczne wykazać. Tak mówi z tego okresu historya literatury krajowej. Pierwszym objawem rozbudzonego życia, i to wielce poważnym, jest rzeczywiście *Haliczanin*. W nim, jak widzieliśmy, reprezentowaną jest filozofia, i estetyczne poglądy głębsze, a oprócz bogactwa poezyi, poruszoną widzimy myśl słowiańszczyzny i pieśni ludowych, która wkrótce w tych kierunkach rozkwitła. Pismo więc to zbiorowe w tym okresie, jako pierwsze co do wartości, stoi na czele po rok 1830. *(d. c. n.)*

MUZEUM
TECHNICZNO-PRZEMYSŁOWE
Dra Adryana Baranieckiego
W KRAKOWIE.

NAPISAŁ

A. H. Kirkor.

Jużto jest rzeczą dowiedzioną, że częstokroć usiłowania jednego człowieka więcej mogą zdziałać na polu oświaty, organizacyi użytecznych dla ogółu zakładów publicznych i tym podobnych na wielką skalę podejmowanych przedsięwzięć, niż usiłowania całych korporacyi i stowarzyszeń naukowych lub literackich. Bo gdy, jak naprzykład w Galicyi, zawiązuje się stowarzyszenie, do którego wstępują ludzie powagi i znaczenia, a wszyscy z początku przejęci zacnością i ważnością celu, do którego społem dążą, zaraz—że przy najmniejszej okoliczności, jakiemś urojonem uchybieniu lub ubliżeniu, powstaje kolizya, a ta przy podmuchach namiętności, przybiera wkońcu takie rozmiary, że zamienia się w nienawiść. Wtedy to zamiast wspólności działań dla osiągnięcia celu, widzimy nieraz gorszące intrygi, na posiedzeniach osobiste przycinki, niekiedy nawet kłótnie. Tworzą się zaraz partye, popierające tych lub owych ze zwaśnionych, a sprawa tymczasem albo zasypia na długie lata, albo jeżeli kiedyś i przyjdzie do skutku, to skoszlawiona, skarłowaciała, nie dorzeczy.

Nie są to złudzenia; moglibyśmy zaraz wykazać niejeden taki przykład z lat ostatnich. Dodajmy jeszcze, że wszelkie przeprowadzenie kwestyi i utworzenie czegoś nowego, nierozłączne tu z biurokratyczną, do drobiazgowości posuniętą formalistyką, a od tej niewolne są najwyższe nawet zakłady naukowe.

Gdy zaś pojedyncze indywiduum staje na czele przedsięwzięcia, unika przez to samo wszelkiej waśni wewnętrznej, wszelkiej formalistyki, nie uniknie tylko nigdy zazdrości, lecz ta najczęściej powstaje wtedy, kiedy już czyn dokonany został i owoce przynosi, ogół zaś odczuje zawsze dobre chęci i z pomocą pospieszy. Cóż w końcu widzimy, oto, że przy współczuciu i ofiarności tego ogółu silna wola energia, niezmordowana praca jednego prywatnego człowieka, cudów dokonać mogą.

Mamy tego świeży przykład na doktorze Jakubowskim, który przedsięwziął budowę szpitala i kliniki chorób dziecięcych, a przy gorliwej pomocy księżnej Marceliny Czartoryskiej, w ciągu jednego prawie roku zamiar swój do skutku doprowadził. Ogół zrozumiał myśl zacną i chętnie z pomocą pospieszył; dość jest powiedzieć, że sama pani Helclowa na ten cel 20,000 guldenów ofiarowała. A gdyby ten sam projekt przechodził zwykłe koleje, gdyby go tworzyła cała korporacya z biurokratyzmem i tysiącznemi formułkami? Możeby i przyszedł do skutku, ale po wielu i wielu latach, tak samo jak potrzeba było blizko 10 lat, ażeby uporządkować groby na Wawelu, albo jak od tylu lat podniesione kwestye, dotąd nie zrealizowane: odbudowania Sukiennic, budowy wodociągów i t. d.

Lecz oto drugi, daleko donioślejszy podamy wam przykład, gdzie już występuje olbrzymia postać, której zakres nadzwyczaj szerokiej działalności przechodzi pojęcie nawet, jak można, ażeby jeden prywatny człowiek, w tak krótkim czasie stworzył coś podobnego.

Chcemy mówić o doktorze *Adryanie Baranieckim.*

Nikt u nas nie myślał, a wielu było takich, którzy może i nie słyszeli nawet o *muzeach techniczno-przemysłowych*, bo też w Europie liczba ich jeszcze niezbyt wielka. Lecz uczuł potrzebę zakładu podobnego dla naszego miasta, a i kraju całego, zacny Dr A. Baraniecki. Długo podróżując po świecie, zbierał on co mógł, i posiadał już przeszło 5 tysięcy rozmaitych okazów rozmaitych. Były tu zabytki archeologiczne; techniczne i przemysłowe okazy; była biblioteka doborowa. Oświadczył więc zarządowi miasta chęć swoję założenia *Muzeum techniczno-przemysłowego* i złożenia Krakowowi w darze wspomnianych okazów Prezydent ówczesny, światły i uczony Dr Diet

---

czyć na stałych konkurentów, a tem samem prawdopodobne jest otrzymanie jeśli nie rzeczywistej, te przynajmniej bardzo do niej zbliżonej wartości. Dlatego z życzliwością witamy myśl urządzenia w Warszawie sali licytacyjnej, podjętą podobno nanowo przez kilku tutejszych przemysłowców. Z przedsiebierstwa takiego i sami założyciele mogą ociągnąć znaczne zyski, które ich trudy wynagrodzą, byle tylko znowu warunki dla przedawców nie były zbyt ciężkie, procent, stanowiący wynagrodzenie od przedaży, nie był zbyt wysoki, a nadewszystko, aby samo przedsiębierstwo kierowane było zdrowemi zasadami uczciwości.

W sferze dramatu i komedyi rozpoczyna się żwawiej krążące życie, jak zwykle w sezonie jesienno - zimowym. Obecnie odbywają się próby pamięciowe z czteroaktowego dramatu Feuillet'a *Sfinx*, a w nauce jest pięcioaktowa komedya wierszem, pana Kazimierza Zalewskiego p. t. *Z postępem*, w której prócz wielu innych artystów, przyjmie udział Żółkowski, wracający do zdrowia ku niemałemu zadowoleniu stęsknionej za nim publiczności. Słyszeliśmy, że po komedyi *Z postępem*, pójdzie na scenę dramat 5-cio aktowy, Laubego, *Hrabia Essex*, w przekładzie J. S. Jasińskiego, oraz 4-ro aktowa komedya E. Lubowskiego, p. t. *Nietoperze*. Z drobniejszych sztuk podobno ukaże się niezadługo jednoaktowa komedya hr. Koziebrodzkiego, p. t. *Miłe złego początki*, a na benefis pani Modrzejewskiej ma być przedstawionym dramat 5-cio aktowy Szyllera, *Miłość i intryga*. Wracająca na naszę scenę utalentowana artystka, pani Aleksandra Rakiewiczowa, o ile nam wiadomo, ukaże się najpierwej we wznowionym dramacie Mosenthala *Deborah*.

Nigdy nie byliśmy zdania, aby książki traktujące popularnie sztukę lekarską, napisane nawet najprzystępniej, miały istotną wartość dla ogółu. Medycyna, jak każda z nauk ścisłych, nie da się w ten sposób popularyzować, iżby mogła dać publiczności możność stosowania jej w praktyce. Nie dosyć wiedzieć, że jakiś środek może być skutecznie użyty w tej lub innej chorobie, trzeba przedewszystkiem umieć poznać samę chorobę. Jeżeli dla nauczenia się poznawania chorób, lekarze prócz lat przebytych na uniwersytecie, poświęcają całe swoje życie, jeżeli dla przyswojenia sobie tej sztuki studyują dziesiątki i setki dzieł specyalnie napisanych, badają chore i zdrowe organizmy, to czyż można przypuścić, aby ktokolwiek, choćby obdarzony największą zdolnością pojmowania, po przeczytaniu jednej popularnie napisanej książki, mógł nauczyć się leczyć, czy to innych, czy nawet samego siebie. A jednakże zdarzyło nam się nieraz widzieć osoby, które z podobną książką w ręku, leczyły w jak

i wszyscy radcy miasta, z radością przyjęli ten projekt, polecając samemuż ofiarodawcy jego wykonanie. Znalazł się mniej więcej stosowny lokal, w murach klasztoru OO. Franciszkanów, i w roku 1868 Muzeum otwarte zostało.

Sześć lat ubiegło od tego czasu. Zacny dyrektor nowoutworzonego zakładu, nie spoczął ani na chwilę. Prawie cały swój fundusz, pracę usilną i gorliwą, wiedzę różnostronną i głęboką, wszystkie chwile życia, poświęcił jednej idei, zapomniał o wszystkiem innem: tworzył tylko i tworzył swoje Muzeum.

I cóż dziś widzimy?

Oto, już przeszło **dwadzieścia tysięcy** okazów, zaczynając od płodów surowych do najwykwintniejszych wyrobów przemysłu całego świata. Dokonał tego sam jeden, swoją pracą, zabiegliwością, a dodajmy prawością i zacnością charakteru, obejściem się z każdym szczerem, braterskiem, które mu ludzi jednało i skłaniało do pomocy. A pracował do niepojęcia. Sam prowadził korespondencyą z całym światem, śledził, badał skąd co nabyć można, sam zebrał wszystko, sam uporządkował, objaśnił, inwentarze i katalogi spisał. Potężniało, rozrastało się rok rocznie Muzeum, ale zacnego Baranieckiego to jeszcze nie zadowalało. Aby podnieść przemysł i handel krajowy, aby nagromadzone skarby w Muzeum, rzeczywistą korzyść przynosić mogły, trzeba mu było utworzyć przy Muzeum ognisko dla stosownych wykładów popularnych. Dokonał i tego zwycięsko. Umiał wyszukać ludzi, którzy poczciwe jego chęci zrozumieli i poczciwe bratnie dłonie pomocne podali. Nie było tu waśni, rozterek, bo każdy zgiąć się musiał przed wielkością i zacnością myśli przewodnej, bo każdy czuł się szczęśliwym, że może pracować na niwie tak zaszczytnej, być pomocnym człowiekowi, który zaparł się siebie i świata, i poświęcił się ogółowi.

Jakoż niemal od samego założenia Muzeum mamy i wykłady stałe przez dobre dobranych pracowników, wszystkich przyrodniczych i technicznych przedmiotów, do objaśnienia nagromadzonych okazów posłużyć mogących.

I tego mu było zamało. Czuł on potrzebę kształcenia kobiety, otworzenia dla niej szerszego pola oświaty praktycznej. Rozszerzył więc zakres odczytów dla płci pięknej z dziedziny krajoznawstwa, historyi, sztuk pięknych, literatury.

Mamy więc dziś rodzaj małej akademii, w której płeć piękna bez wielkiego wysilenia czerpać może wielostronne, a tak potrzebne wiadomości nietylko dla zapełnienia tej pustki, którą nieraz tak boleśnie uczuwa matka rodziny, nie umiejąc objaśnić swemu dziecku żadnego zjawiska przyrody, ale i dla nadania życiu praktycznego kierunku.

Lecz i na tem jeszcze nie poprzestał. Aby niedostatnie panny, oprócz kształcenia się umysłowego, mogły utorować dla siebie drogę i do zarobku na chleb powszedni — urządził przy Muzeum *szkołę malarstwa* oraz *drzeworytnię*. Nadto dla płci męzkiej *modelarnię i szkołę rysunków* (przeważnie dla rzemieślników), oraz *odlewalnię gipsową* dla zaopatrzenia szkół niższych, tanim kosztem, w modele gipsowe i ornamenta podług najznakomitszych wzorów. *(d. n.)*

PRZEGLĄD TEATRALNY.

ŚWIĘTOSZEK,

Komedya w 5 aktach Moliera, przekład wierszem Klemensa Podwysockiego. (Przedstawiona na scenie Teatru Letniego, dnia 27 września r. b.)

(Dokończenie).

Treści komedyi Świętoszek przytaczać tu nie będziemy — dla znających tę sztukę byłoby to zbytecznem; nieznającym zaś nie przyniosłoby żadnego pożytku, bo w kilku słowach nie podobnaby nam było zapoznać ich dokładnie, ani z ogromem myśli nagromadzonych tu przez Moliera, ani ze znaczeniem i doniosłością sytuacyi, ani wreszcie z misternie wyrzeźbionym przebiegiem i rozwojem akcyi dramatycznej.

Krytyka w różnych czasach rozmaicie zapatrywała się na Świętoszka i na wpływ jego na moralność społeczną i religijną. Z tej ostatniej zwłaszcza strony, był on celem i przedmiotem wielu namiętnych napaści, począwszy od pierwszego ukazania się na scenie — kiedy go nawet z tego powodu na lat kilka całkiem wzbroniono— aż do początku bieżącego stulecia; a bodaj czy i dzisiaj jeszcze nie znajdą się ludzie, którzy go obarczą zarzutem niemoralności. Według nas zarzut taki byłby niewłaściwy, gdyż sztuka może i powinna czerpać z każdego dostępnego dla niej źródła, byleby chłoszcząc ludzkie wady i słabostki nie przekraczała nigdzie granic zakreślonych przez poczucie piękna i prawdy. Świętoszek zaś, obu tym warunkom najzupełniej czyni zadość. To też publiczność, zgadzała się zawsze w zdaniu z tymi z krytyków, którzy oceniając tę sztukę ze stanowiska czysto literackiego, najgorętsze tylko dla niej zasyłali pochwały. Bo w rzeczy samej, cóż to za świetne zestawienie charakterów! Dwie moralności występują tu na jaw: jedna, połączona z prawdziwą i szczerą pobożnością uosabia się w *Kleancie*, druga, będąca tylko hypokryzyą, kryjącą się pod płaszczykiem cnoty, znajduje przedstawiciela w *Tartufie*. Kleant, sama prawość, połączona z silną wolą i zdrowym rozsądkiem, odgranicza niejako w ciągu całej sztuki fałsz od prawdy, złe od dobrego. Tak uważany Kleant jest rzeczywistem przeciwstawieniem postaci Tartufa. Trzecia z głównych figur w komedyi, *Orgon*, cóż to za wyborny typ dobroduszności, łatwowierności i słabości charakteru! a z tem wszystkiem jakże on uparty w błędzie, jak święcie wierzy w owego szarlatana, który potrafił go opętać i zapanować nad nim! Obok tych trzech głównych osób spotykamy sympatyczną postać *Elmiry*, drugiej żony Orgona, kobiety młodej i pięknej, połączonej ze starcem, któremu święcie małżeńskiej dochowuje wiary, i czuwa troskliwie nad swoim i jego honorem. Dalej idzie *Doryna*, niezrównany prototyp suberetki, uosabiającej w sobie spryt, dowcip, i że się tak wyrazimy, prosty chłopski rozum. Pani *Pernelle* jest znowu przedstawicielką uporu, zaślepienia i fanatyzmu, do ostatnich posuniętego granic. W charakterze *Damisa*, syna Orgona, przedstawił Molier młodzieńczy zapał i porywczość; wszystko co piękne, dobre i szlachetne pociąga ku sobie tę młodą i czystą duszę, która się głęboko oburza i jak wulkan wybuchnąć gotowa za każdym objawem fałszu, obłudy i podłości. Sympatyczna para kochanków, w osobach *Walerego i Maryanny*, i wreszcie pan *Loyal*, sługa sądowy, druga, lecz zmniejszona edycya świętoszka, oto i wszystkie działające w tej sztuce osoby, z ich charakterami, wadami i przymiotami.

---

najlepszej wierze. Udało się, to dobrze—a nie udało, no, to jużby i najlepszy lekarz nie pomógł. Na wsiach, gdzie o lekarza często dosyć trudno, podanie jakiegoś ogólnego środka w początku choroby może być pomocnem, lecz na tem się należy ograniczyć, i lepiej zostawić chorobę naturze, jak podawać na chybił trafił lekarstwa, mogące, jeżeli nie zabić chorego, to stan jego pogorszyć.

Te myśli nasunęła nam świeżo wyszła z pod prasy książka, napisana przez doktora St. Jerzykowskiego p. t.: „Popularny wykład o budowie, pożywieniu i pielęgnowania ciała ludzkiego." (Nakład księgarni S. Czarnowskiego i Ski). Jak sam tytuł objaśnia, autorowi nie chodziło oto, aby z czytelników swego dziełka zrobił lekarzy. Podzieliwszy swoję pracę na cztery części, Dr. Jerzykowski zapoznaje nas w bardzo przystępnej formie z budową naszego ciała. Dalej mówi o pożywności pokarmów, dając wskazówki jak ich używać należy, aby nie szkodziły zdrowiu; uczy jak pielęgnować ciało, aby je ustrzedz od szkodliwych wpływów; wreszcie kończy rzecz swoję radami, w jaki sposób postępować w nagłych wypadkach, gdzie nie można czekać na przybycie lekarza, gdzie pomoc natychmiastowa jest konieczną i gdzie rozpoznanie cierpienia jest dostępnem dla każdego, jak np. w razie apopleksyi, otrucia, powieszenia, utopienia i t. p.— Książka ta jest więc popularną hygieną, której znajomość ustrzedzby mogła nie jednego od wielu cierpień i chorób. Nie należy się starać o to, aby umieć się wyleczyć lecz przedewszystkiem o to, aby nie zachorować. Z tego powodu tę nową pracę D-ra Jerzykowskiego uważamy za nader pożyteczną i radzimy czytelnikom naszym czytać tylko tego rodzaju książki lekarskie i korzystać z rad w nich zawartych, a z pewnością mniej często będą potrzebowali wzywać lekarzy; sami zaś choć może ze smutkiem dla siebie, lecz niezawodnie z pożytkiem dla ogółu pozbędą się praktyki lekarskiej, którą tylko specyalistom pozostawić winni.

W zeszły czwartek na scenie teatru letniego przedstawioną została poraz pierwszy jednoaktowa, z niemieckiego tłómaczona komedya p. t. „On nie zazdrosny." Jest to drobnostka odznaczająca się od wielu innych tego rodzaju utworów tem, że zawiera w sobie myśl, choć nie nową, ale zawsze będącą na czasie, a do tego w zręcznej i dowcipnej wypowiedzianą formie. Młoda żona (panna Popiel), martwi się tem, że mąż jej doktór, August, (pan Tatarkiewicz), nie jest o nią zazdrosny. Dla uspokojenia się jednak pragnie go wystawić na próbę, w czem jej dopomaga stryjaszek (pan Chomiński). Mąż dowiaduje się o zmartwieniu żony i o jej zamiarze i korzystając ze sposobności daje swej Cesi i stryjaszkowi nauczkę, po której żona, poznawszy czem jest zazdrość,

Teraz pomówmy o wykonaniu.

Ujrzawszy na afiszu zapowiedziane u nas przedstawienie którego z dzieł molierowskich, jesteśmy przygotowani usłyszeć głosy rozprawiające o jakoby konieczności zachowania w grze artystów tradycyi, czyli coś jak gdyby przyjętej od niepamiętnych czasów maniery w przedstawianiu dzieł tego rodzaju, na tę konieczność zgodzić się nie możemy. Przedstawienie arcydzieł dawnych mistrzów według dawnej rutyny, nie byłoby postępem zbliżającym coraz bardziej grę artystów do natury, lecz cofaniem się do porzuconych już błędów. W takim razie, tragedya odzyskałaby śpiewność przesadnego skandowania wierszy, ruchy wyrachowane na efekt, a mijające się z prawdą, chód mierzony; w komedyi musielibyśmy widzieć nierozśmieszającą już dzisiaj ani rozrzewniającą nikogo przesadę i nareszcie zgodzić się na to, że dawniejsi ludzie zupełnie inaczej czuli, cierpieli, radowali się, śmieli, albo płakali, innym podlegali namiętnościom, słabościom, i śmiesznościom aniżeli dzisiejsi.

Podług nas, może jedyną tradycyą odwzorowywania dawnych postaci przez dzisiejszych artystów, będzie zastosowanie pod pewnym względem ruchów do kostiumu; co się zaś tyczy uwydatnienia ich ducha (nie mówimy tu o osobach historycznych) wystarczy dokładne zastanowienie się nad epoką, narodowością, i gruntowne zgłębienie charakterów ludzi, jakich mają przedstawiać. Z takiem przygotowaniem odbywszy próby, całość powinna wyjść w przedstawieniu dobrze, a usterków, jakie się znajdą, nie należy szukać w niezachowaniu tradycyi, lecz w stopniu talentu artystów przyjmujących w tem przedstawieniu udział.

Szanując głęboko, niepospolity, połączony z myślą i pracą talent p. Rapackiego, czujemy się tymbardziej w obowiązku wypowiedzieć mu prawdę. W postaci i charakterze Świętoszka, jak go przedstawił p. Rapacki, nie widzieliśmy ani postaci, ani charakteru molierowskiego Tartufa, który

... se porte à merveille,
Gros et gras, le teint frais et la bouche vermeille.

W tych już wyrazach, mieści się cała zewnętrzna charakterystyka; ciało, w którem według dalszych wskazówek autora, zamieszkuje dusza arcy troskliwa o nie—hypokryta osłaniający płaszczykiem pobożności, lubieżnego i rozwiązłego sybarytę. Zresztą, w ciągu pierwszego i drugiego aktu, autor przez inne osoby, tak jasno odmalował główną figurę swojej komedyi, że artysta miał już gotowy wzór, od którego pod żadnym pozorem odstępować nie należało.

Nie wiemy czy pani Bakałowiczowa studyowała tradycye, według jakich wypadało odegrać Dorynę, lecz wiemy, że Doryna w grze tej artystki była pełną życia, prawdy, humoru, dowcipu i werwy. Jest to, co prawda, rola należąca do tak zwanych *wdzięcznych*, ale też podniesiona potężnym talentem pani Bakałowiczowej, wzbiła się jak nie można wyżej, dając nam rzeczywisty i skończony typ ówczesnej francuskiej suberetki. Doryna, prawie ciągle znajdująca się na scenie, ani na chwilę nie przypominała nam aktorki; aktorka była ciągle Doryną, zajętą, zapełniającą każdy moment grą mimiczną, wybornie zastosowaną do sytuacyi, lub rozprawiającą, a raczej wtrącającą się do rozpraw swobodnie i naturalnie.

Najtrudniejsze z całej oniemal sztuki zadanie dostało się pani Nowakowskiej. Rola Elmiry wymaga artystki dzielnie władającej głosem, grą fizyonomii, uczuciem— słowem artystki, jak to mówią, skończonej. Pani Nowakowska z całości wyszła szczęśliwie, zarys charakteru pojęła dobrze, w scenach pojedynczych znać było opracowanie. Tych scen jest rzeczywiście dwie, w 3 i 4 akcie. W pierwszej radzimy pani N. cokolwiek więcej oburzenia w obec oświadczającego się Tartufa — czego z łatwością artystka dokona— w drugiej, usunięcie błędu nie przyjdzie tak łatwo, bo przyjść musi z doświadczeniem, wprawą, swobodą, jakie tylko dać mogą praca i czas, w połączeniu choćby z największym talentem. Elmira, umieściwszy męża pod stołem, aby go przekonać o nikczemności Tartufa, staje się, że tak powiemy, podwójnie aktorką, bo gra scenę w scenie. Elmira, nie będąc z natury kokietką a chcąc w sidła kokieteryi złowić Tartufa, w trudnem znajduje się położeniu; kłamie uczucie, którego nie doznaje, a na poparcie kłamstwa nie ma owej kokieteryi, której każdy wybitniejszy odcień byłby w tej roli nieprzebaczonym błędem. Tego błędu pani N. potrafiła uniknąć, lecz wpadła w drugi, gdyż zawiele prawdy nadała swoim miłosnym wyznaniom. Jakimże sposobem uniknąć tego błędu?... na pozór bardzo prostym; Elmira kłamie uczucie, kto kłamie ten zwykle nadaje słowom mniej więcej wybitny odcień przesady i właśnie podług nas, Elmira z taką przesadą, zdradzającą kłamstwo, mówić powinna. Powiedzieliśmy, że to sposób na pozór bardzo prosty, lecz w istocie, jest on trudny dlatego, że tę przesadę należy trzymać w karbach umiarkowania, aby Tartufowi jakkolwiek nieco już odurzonemu, to kłamstwo niewydało się kłamstwem. W apostrofie mówionej więcej już do męża niż do Tartufa, nie należy zupełnie zwracać oczów i mowy ku kryjówce Orgona, lecz dzielić kierunek słów, między męża a uwodziciela i nadać im ton szlachetnego oburzenia, połączonego z ironią i niecierpliwością, także trzymanemi na wodzy. W każdym razie pani Nowakowskiej należy się pochwała, bo jeżeli rola w jej grze niewyszła zupełnie wykończoną, znać było myśl i pracę—a zboczenia nie przyniosły szkody całości.

Postać Orgona nie należy także do łatwych zadań artysty—lecz pan Ostrowski przyjmując ją na siebie, wcale się nie przerachował. Zrozumienie wyborne, charakterystyka dobra, dykcya wypracowana, dobroduszność jasno malująca się na twarzy artysty, złożyły się na Orgona takiego, jakim go pewno chciał mieć sam autor. Jedynym zarzutem, jakibyśmy mogli uczynić p. O. jest zbyteczne, naśladowanie słodyczy głosu Tartufa, w opowiadaniu o jego przykładności w kościele. Orgon wierzy w swojego obłudnego przyjaciela więc takie dokładne naśladowanie jego mowy, zakrawa raczej na wyszydzenie i na chwilkę może słuchaczów zawahać w przekonaniu, że Orgon mówi to wszystko najdobroduszniej i z najszczerszą wiarą. Zresztą, żadnego zarzutu, całą postać Orgona, p. O. od początku do końca sztuki przeprowadził konsekwentnie i odegrał ze słusznie przyznanym sobie talentem.

Kleantowi radzilibyśmy więcej werwy, a raczej utrzymania jej w ciągu całej roli. Pan Grzywiński, nie zepsuł tej postaci, jednak nie wyszła ona w grze jego tem, czem być powinna. Kleant wypowiada swoje przekonania śmiało, dobitnie z energią człowieka silnie wierzącego w to co mówi, i głęboko oburzonego zarówno bezczelnością Tartufa jak łatwowiernością Orgona.— Tej siły i energii brakło panu Grzywińskiemu.

Rolę urzędnika sądowego wybornie wykonał p. Stolpe, który umiał jej nadać właściwy ton i unikając wszelkiej przesady, stworzyć charakter w sobie skończony, a wyraźnie uwydatniający fałsz i obłudę postaci, jakby przez ironią noszącej nazwę Loyala.

Panna Figarska, jakkolwiek nie zepsuła wybornej postaci pani Pernelle, popełniła błąd w obliczeniu się z wytrwałością swoich zasobów głosu, zamiast *crescenda* rozpoczęła scenę I-go aktu zbyt silnie, a skończyła za słabo. Gdyby tego potrafiła uniknąć, z pewnością uczyniłaby lepsze wrażenie.

Pan Prażmowski szybkie czyni postępy, dowodem tego rola *Damisa*, odegrana z życiem już jej nie pragnie więcej, a stryjaszek cieszy się zapewnionem w ten sposób szczęściem młodej pary. Od połowy sztuki sytuacye stają się tak komicznemi, iż szczerego śmiechu wstrzymać nie podobna, zwłaszcza, że wszyscy grający artyści przedstawiane przez siebie role odegrali bez żadnego zarzutu, przez co całość wyszła wzorowo, pełna życia i humoru.

Tegoż samego wieczora dawano Fredry: „Zemstę za mur graniczny." W komedyi tej, oprócz debiutu p. Cybulskiego, dwaj inni artyści panowie Chęciński i Rapacki pomieniali się na role, tak iż pierwszy przedstawiał tym razem cześnika Raptusiewicza, a drugi rejenta Milczka. Na tej zamianie, dowodzącej w grających wysokiego poszanowania dla sztuki i braku wszelkiej zarozumiałości, i oni sami dobrze wyszli i publiczność także skorzystała. Co do pana Cybulskiego, który wystąpił w roli Papki, to nie możemy o nim jeszcze wypowiedzieć stanowczego zdania. Podobno artysta miał chrypkę, to jednak pewna, że głos wcale mu nie dopisywał. O ile się zdaje, pan Cybulski, trudną swoję rolę pojął nieźle i traktował ją wogóle dosyć inteligentnie — wykonanie jednak szczegółów było bardzo słabe i do tego stopnia bezbarwne, że postać Papki znalazła się zupełnie na drugim planie. Po dalszych występach pomówimy może o p. Cybulskim nieco obszerniej.

Drzeworytnia warszawska wydała w tych dniach *Kalendarz ścienny* na rok przyszły 1875. Kalendarz ten ozdobiony trzema drzeworytami, rysunku p. Ksawerego Pilattego, starannie wykonanemi w drzeworytni, tak pomysłem jak i układem swoim miłe dla oka czyni wrażenie. Kalendarz naklejony jest na tekturkę, a z odwrotnej jego strony znajduje się wiele pożytecznych w życiu codziennem i praktycznie wybranych wiadomości, jako to: wykaz świąt galowych, świąt wyznania mojżeszowego, taryfa opłat posłańców miejskich, opłat pocztowych od listów wysyłanych zagranicę, opłat za depesze telegraficzne, tabela przychodu i odchodu poczt w Warszawie, wreszcie przepisy stemplowe i telegraficzne. Nakoniec, zasługą tego kalendarza jest niska jego cena.

Pan Wells zapowiedział u nas podróż nadpowietrzną balonem, wypełnionym ogrzanem powietrzem. Dziś, gdy balony wypełniane gazem, oddają już znaczne przysługi nauce i celom strategicznym, przedstawiając przytem jakie takie przynajmniej bezpieczeństwo dla podróżnika, używanie balonu wypełnionego rozgrzanem powietrzem jest bezcelowem narażaniem życia, balon taki bowiem z łatwością pęknąć lub spłonąć może za lada silniejszym wiatru podmuchem.

i jak na początkującego artystę z dosyć już znacznym zasobem swobody.

Wogóle, sztuka dobrze przetłómaczona przez p. Podwysockiego szła gładko, i na publiczności przekładającej rzeczy z głębszą myślą napisane, nad krótkotrwałe błyskotki sceniczne, dobre uczyniła wrażenie, a dla repertuaru cennym stała się nabytkiem.— *Br. P.*

KORESPONDENCYA
Ogniska Domowego
Z ZAGRANICY.

Kraków, we Wrześniu 1874 r.

(†) Innym jest dziś Kraków niż ongi, kiedy go *mdłym Rzymem* zwano; nie dlatego iżby z postępem ducha czasu wraz z nim nowemi drogami kroczył, a może raczej wraz z nim cofał się... bo owszem odmłodniał on, odświeżył się, nie straciwszy nic na swych tradycyjnych zaletach. Postać zewnętrzna miasta przybiera coraz powabniejszy widok, a gdy nie od razu Kraków zbudowano, więc też i nie od razu stary w nowe formy przedzierzgnąć się może. Łatwiej to było z halickim Lwigrodem, który w kilkunastu latach ostatnich wyzbył się swej ruskiéj cechy, a przeobraził się dość zręcznie w niemiecki Lemberg i zasłużył sobie na miano nowego Wiednia,—u nas inaczej...

Kościołów w tym roku nie wiele restaurowano, wyjąwszy Maryacki, który ciągle z wzorową troskliwością opatrują i reparują, tudzież Ś-go Krzyża, którego wieżę nowym dachem obecnie pokrywają. Mieszkalnych budynków stanęło za to co nie miara: sam „Bank galicyjski dla handlu i przemysłu" ukończył ich kilkanaście, a wszystkie obok gruntownej budowy stanowią też prawdziwą ozdobę miasta; prywatnych budynków także kilkanaście przybyło, nawet za przedmieściami. Na Wesołéj za ogrodem strzeleckim, gdzie zdawien dawna kilkadziesiąt morgów ornego pola przedstawiało oczom przechodniów przyjemny wiejski widok zielonej oziminy i złocistych łanów żyta i pszenicy—dziś pokrajano całą tę przestrzeń, a staną na niej nowe budynki i ogródki. Na drugiej Wesołéj (wielkiéj) naprzeciw szpitala ś. Łazarza, dźwiga się nowy szpital dla dzieci z ofiar dobroczynnych powstający. Dokoła miasta spotkać można wiele nowych budynków—ale pomimo tego, mieszkania równie drogie jak przedtem były; nawet te, które co do urządzenia i wygody nie mogą iść w porównanie z dzisiejszemi, nie ustępują im przecież w cenach. Zaczynają też mówić o budowie nowego teatru. Wartoby na seryo o tem pomyśleć, bo dla sił naszych artystów i w obec tak starannej Dyrekcyi, jaką się śmiało szczycić możemy, arena to zbyt szczupła. W tej mierze jednak samo miasto nie podoła, zapewne więc i sejm nie odmówi pomocy z funduszów krajowych. Obecna sesya sejmowa zbyt krótka, zaledwo się rozpoczęła a nie dłużej jeszcze jak trzy tygodnie potrwa, jest zaś kilka ważnych administracyjnych spraw do załatwienia; w tym roku więc ani myśleć o tem.

W naszej radzie miejskiej mnóstwo też do załatwienia projektów od kilku lat skwapliwie zbieranych, i fundusze są gotowe—bo projekty spowodowały zaciągnięcie wielkiej pożyczki—idzie tylko o to, co począć z pieniędzmi aby ich dobrze użyć; nad tem radzili i dotąd radzą radcy krakowscy, powoli, rozważcie! Ależ chociaż przyjdzie do zatwierdzenia jakiegoś projektu, to wykonanie jego zwykle żółwim u nas idzie krokiem, postanowiono naprzykład zmienić w jednej stronie kierunek gościńca okalającego miasto po za plantacyami i odgraniczającego je od przedmieść; począwszy np. od Łazienek Marfiewicza, zamiast wprost przez rynek kleparski około plantacyi na Wesołą ku dworcowi drogi żelaznej, wytknięto drogę większym łukiem około Towarzystwa ubezpieczeń i całej linii innych domów, przez co rozszerzą się w tej stronie plantacye. Tymczasem, część drogi zrobiona, pokrywa się już piękną zielenią, bo rozpoczęte roboty od trzech miesięcy ni stąd ni zowąd przerwano. Takim trybem idzie u nas wiele innych spraw miejskich—sądzimy jednak, że w niedalekiéj przyszłości lepiej pójdą rzeczy, a spodziewamy się tego po dobrych chęciach i spreżytości nowego Prezydenta Rady miejskiej, D-ra Zyblikiewicza.

Najgłówniejszą rzeczą dla miasta są wodociągi, bo w całym Krakowie zdrowej wody nie ma, i każda epidemia straszne musi z tego powodu przybierać rozmiary.

Od pierwszych dni września, coraz liczniej zapełniają się wszystkie hotele, zjeżdżającymi z kąpieli w Tatrach. Malowniczy widok przedstawiają wózki góralskie, w parę małych ale dziarskich i wytrwałych koników zaprzężone. Wózki te zdrobniale nazywane, są to lekkie drabiniaste wozy, pokrzkami wyłożone, z budą płócienną na obręczach obciągnioną. Zabawnie było patrzeć, jak dorodne Warszawianki, musiały być wydobywane z tych głębokich wozów półkoszkowych, w których ani drzwiczek ani żadnych stopni nie ma. Codziennie liczba tych wózków powiększała się z goścmi ze Szczawnicy, Krynicy, i z Zakopanego. Ostatniej miejscowości wasz Doktór Tytus Chałubiński, szeroki dał rozgłos, przez co zgromadził niemało rodzin szczególnej z Królestwa polskiego. Szczawnica była przepełniona, bo liczyła do 2,000 gości, a i w Krynicy szukających zdrowia nie brakło. Wszystko to teraz do Krakowa zbiegło, aby po przykrych trudach podróży wypocząć nieco, a następnie, wygodną koleją Warszawsko-Wiedeńską, powracać do domu.

Teatr tutejszy otworzył swoje podwoje, niepowiem stęsknionym Krakowainom, ale dla gości przejeżdżających, od 1-go września. Jakoż na pierwsze widowisko dano nieosobliwy dramat S. H. Mosenthala *Deborah*, w którym główną rolę odegrała pani A. Rakiewiczowa, artystka warszawskich teatrów. W występach swoich, wyłącznie w rolach tragicznych, jak w Barbarze Radziwiłłównie, Aloiz. Felińskiego, szczególnej też w *Drahomirze*, dramacie doskonale przełożonym przez Wł. Anczyca, w którym po mistrzowsku rolę swoję oddała, pokazała znakomity talent i zrozumienie dokładnę każdej przedstawionej przez nią postaci. W siedem dni po otwarciu tutejszej sceny—zakończyła życie Marcelina Ekerowa, ulubiona artystka teatru krakowskiego, któremu zawsze wierną była. *Afisz teatralny*, który tu wychodzi, poświęcił jej obszerne wspomnienie, oddając hołd należny zasługom dla sceny tutejszej i sumiennej pracy. Pięknym był zmarłej pogrzeb, artyści nieśli trumnę ze zwłokami, w kwiaty przybraną, aż na odległy cmentarz. Żal powszechny towarzyszył jej do miejsca wiecznego spoczynku.

Z pism czasowych, *Przegląd polski* w miesięcznych zeszytach, zaledwie liczy 180 prenumeratorów, chociaż się zaleca doborem treści. Najwięcej artykułów jest pióra samego nakładcy St. hr. Tarnowskiego, który podejmuje koszt niemały dla utrzymania tego poważnego organu. Jak długo jeszcze wytrwa, w tak nieprzychylnych warunkach, nie wiemy. Wychodzi tu dwa razy na miesiąc *Dziennik mód*, nakładem księgarza Otremby, a pod redakcyą W. Sabowskiego, przeważnie poświęcony modom, z dodatkiem półarkuszowym części literackiej. W nim mieści się powieść, poezye, i rozmaitości p. n. *Z kraju i świata*. Liczy do 1600 prenumeratorów, z tych około 300 ma i w Królestwie polskiem. Trzeciem pismem codziennem jest *Czas*, znana gazeta, której felieton od samego początku redaguje Lucyan Siemieński, tłómacz *Rękopisu Królodworskiego*, i świeżo ukończonego w druku przekładu *Odyssei Homera*; obie te prace po mistrzowsku dokonane, dają dostateczne wyobrażenie o wysokim talencie tego pisarza i o dzielności, z jaką włada naszym językiem. Jeżeli na główny kierunek tego dziennika niekażdy się zgodzi, musi przyznać, że starannie jest prowadzony i zaleca się umiejętnym a wytrawnym piórem. Felieton, niezawsze zajmujący ale są w nim wyborne artykuły już to samego Siemieńskiego, już wielu innych pisarzy. Dziś po upadku *Kraju*, który sam sobie mogiłę otworzył nieoględnością swej redakcyi, *Czas* jest jedyną gazetą, którą najchętniej krakowianie czytają, i wyglądają z utęsknieniem każdego jej numeru. Pomimo to, liczba prenumeratorów nie dochodzi 2000, i zaledwo może kosztа swego wydawnictwa i redakcyi opłacać. Był on dawniej w ręku bankiera *Kirchmajera*, który hojnie go podpierał o zysk niepytając; wówczas zakupywał artykuły do felietonu: dziś po jego bankructwie żaden z nienależących do członków stałych w redakcyi, nic piórem zarobić nie może.

Wystawa obrazów w pałacu biskupów Krakowskich, wsparta genialnemi utworami pędzla Matejki, ściąga tylko gości, bo dla miejscowych już zobojętniała. Niemniej jaśnieją utwory, portrety jego, i mały olejny obrazek *Maćka Borkowicza*; idą dalej ołówkowe utwory Artura Grottgera, portrety przepyszne Rodakowskiego, Gryglewskiego widoki, i wiele innych. W wystawie rzeźby, uderza posąg Kopernika, i piękne utwory dłuta Wiktora Brodzkiego. Kopernik, obraz znany wam, zdobi jednę z sal nowo przyłączonych do biblioteki Jagiellońskiej. Ustawiony w należytem świetle—dopiero może być ocenionym właściwie. Wystawa ta, otwartą jest codziennie, po 30 cent. za wnijście a w niedziele i święta o połowę taniej.

W dnie świąteczne, od ciepłej wiosny przez całe lato mają krakowianie wiele sposobności do rozrywki. Pierwsze miejsce zajmuje *Ogród Strzelecki* z restauracyą, położony za dworcem kolei żelaznej. Tu wyborna muzyka wojskowa wcześnie popołudniu grywa, i daje prawdziwe *koncerty*; złożona jest bowiem z utalentowanych artystów, którzy biegle zarówno na dętych instrumentach, jak na skrzypcach i wiolonczeli grają, a wielu z nich odznacza się też grą na fortepianie. Stanowią oni tak dobraną orkiestrę, że śmiało mogliby się mierzyć z Bilsego. W programie tegorocznym najwięcej bawi krakowian *Krach polka*, przedstawiać mająca naprzód pychę spanoszonych oszustów, a następnie ich przestrach i grozę. Kończy się śpiewką i okrzykiem ogólnym: Aj! waj! Aj! waj! jaki wydają bankruci.

Niemniejszą jest rozrywką wycieczka do Wieliczki, dla zwiedzenia tej przepysznej kopalni soli, gdzie człowiek najgłębiej przedostał się do wnętrza ziemi. Wycieczkę tę dwumilową ułatwia kolej żelazna. Górnicy wcześnie uroczystość oświetlenia podziemi zapowiadają i wówczas tłum mieszkańców Krakowa zapełnia wagony. Ze Szląska zbierają się także *kompanie*, dla których iluminacya żup wielickowskich jest przygotowaną. Przepysznym jest widok kopalni rozjaśnionych tysiącem świateł; muzyka górnicza towarzyszy gościom, których liczba, jak w tym roku w pierwszej połowie września wyniosła 1400 osób. Prawdziwie najrzewniejszą jest chwila ta, gdy górni-

cy z pochodniami odśpiewują pieśń pobożną. W tym śpiewie jest urok nieopisany, który wstrząsa do głębi każdego.

Pomimo świetności takiego zgromadzenia, wolę wędrówkę po kopalniach Wieliczki, w gronie małem, kiedy nie ma tej iluminacyi, i nie słyszę dźwięków muzyki, bo wówczas z zachwyceniem mogę uwielbiać majestatyczną piękność tych podziemiów; natłok gości, ich wrzawa, tańce—to nazbyt zwykłą ziemię przypomina; w głuchej ciszy, idąc za przewodnikiem, gdy małą lampką mi przyświeca, lepiej czuję potęgę cudów bożych.

Niebraknie i ślicznych okolic Krakowowi, z którym o pierwszeństwo w tym względzie tylko Wilno ubiegać się może. Ale obojętność dla nich widoczną jest w mieszkańcach tutejszych. W święta bowiem i niedziele, najpiękniejsze okolice są puste, i tylko odwiedza je daleki gość, przybyły do Krakowa.

Kiedy goście z kraju i różnych stron dalszych coraz więcej opuszczają Kraków, stali jego mieszkańcy wracają z wycieczek swoich w Tatry i zagranicę, lub z wiejskich mieszkań. Szkoły już otwarły swoje podwoje — zarówno jak Uniwersytet — gmach pusty *Akademii umiejętności*, ożywia się coraz więcej; stałe posiedzenia *wydziałów* i licznych *komisyi* zaczną swą pracę — miasto nasze wraca powoli do zwykłego jak dawniej życia.

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg)

— Hej, Jerzy! Jesteś tak zamyślony, żeś mnie o mało nie przewrócił. Dokąd idziesz?

Jerzy podniósł oczy; rzeczywiście zapomniał o świecie w około siebie.

Poznał jednego z dawnych swoich znajomych, wesołego młodzieńca, w towarzystwie którego nieraz bardzo dobrze czas przepędzał, którego jednak unikał od chwili swoich zaręczyn, z powodu, że Tom Fullerton nie przebierał w miejscach, jakie dla zabawy odwiedzał. Dzisiejsze przecież spotkanie bardzo było mu na rękę.

— A to ty, Tom, jak się masz? Dawnośmy się nie widzieli.

— Czyjaż to wina, old Fellow? Doprawdy, że nie moja, zaśmiał się młodzieniec, który chociaż również pochodził z dobrej i przyzwoitej rodziny, życie wiódł najnieporządniejsze — nie moja. Ale od czasu jak jesteś w sieciach twojej Jenny, nie można cię już spotkać nigdzie, a opowiadano mi, że stałeś się tak skromny, iż doprawdy zdumiewam się, widząc cię już o zmroku samego na ulicy. Czy jesteś dziś, na urlopie?

— Głupstwo! rzekł Jerzy— czyliż sądzisz, że już przed ślubem jestem pod pantoflem?

— Byłoby to, co prawda, trochę zawcześnie, odpowiedział Tom, śmiejąc się, a daję ci słowo, że straszne już w tym względzie widziałem przykłady. Dzieją się cuda na świecie.

— Co ci się marzy; odparł Jerzy, co robisz dziś wieczór?

— Ja? rzekł Tom ze zdziwieniem; czy ja wyglądam na człowieka, który kiedykolwiek wie, co zamierza? — Ale dla czego mnie o to pytasz? Wszak nie chcesz przez to powiedzieć, że ty sam nie wiesz, co zamierzasz czynić, i że przez wieczór dzisiejszy jesteś panem swojego czasu?

— Właśnie, że tak jest, potakiwał Jerzy złośliwie, a nigdy nie byłem więcej panem swego czasu, jak teraz.

— Czy pokłóciłeś się ze swoją lubą? zaśmiał się Tom.

— Damn it, nie, odrzekł Jerzy ponuro, było mu bowiem nieprzyjemnie, że go Tom w najsłabszą ugodził stronę.— Skąd ta myśl?

— Ot, tak mi się zdawało — powiedział przyjaciel Jerzego i popatrzał na niego z ukosa. Jeżeli chcesz, pójdziemy trochę do klubu. Skarżyli się tam niedawno, że od wieków cię nie widzieli.

Jerzy z niezadowoleniem potrząsnął głową.— Na to najmniej miałbym ochoty, rzekł. Szaleńcy tam, tylko docinać umieją.— Jak się ożenię, znów zacznę chodzić do klubu.

— Doprawdy?— ale dokądże więc pójdziemy? Do teatru?— Tamby nam może zeszło kilka godzin.

— Możemy pójść do teatru — powiedział Jerzy—a potem?

— Musisz istotnie być dziś na urlopie, zaśmiał się znów Tom, skoro tak lekkomyślnie możesz rozporządzać całym wieczorem. Ale doskonale się składa — coś mi właśnie przychodzi na myśl, co już raz dawniej ułożyliśmy i co runęło z łaski twoich zaręczyn.

— Cóż to takiego.

— Chcieliśmy przecież zwiedzić kiedy razem jeden z owych nadbrzeżnych szynków marynarskich, gdzie zbiera się ludność morska i siedząc obok dziewcząt swoich, rozpowiada sobie podróże i przygody. Powiadam ci, raz tylko w życiu brałem udział w takim wieczorze, ale ubawiłem się wyśmienicie. Zupełnie to co innego, jak nasza zwykła wymuszoność we fraku i rękawiczkach; czujesz się formalnie ożywionym. Jak sądzisz gdybyśmy się wybrali tam dziś wieczór? ba! skoro się ożenisz, już nam się to nie uda.

— Hm — i przytem będziemy pili grog i palili cygara.

— Cygara?— nie! krótkie fajeczki, inaczej zwrócilibyśmy na siebie uwagę, zawołał Tom, — ale, teraz właśnie stosowna potemu jest pora, gdyż tam na dole stoi kilka okrętów udających się na połów wieloryba, gotowych do wypłynięcia, a obok tego są niektóre okręty, długo będące w podróży, które mają zawsze na pokładzie ludność bardziej zajmującą, aniżeli ta hołota, co się nazywa marynarzami a po większej części wałęsa się po statkach parowych. Jeźli uda nam się dobrze wybrać miejsce i wyjednać sobie wstęp (gdyż prawdziwi żeglarze nie radzi pokazują się obcym) usłyszymy dosyć, żeby mieć o czem rozpowiadać przez cały miesiąc.

— Ale w zwykłem naszem ubraniu pójść tam nie możemy?

— Niech Bóg broni, zawołał Tom — bo ludzie ci, albo z góry nie mieliby do nas zaufania i bylibyśmy w niebezpieczeństwie wylecenia w powietrze, albo przynajmniej zachowywaliby się milcząco, przez co również chybilibyśmy celu. Czy nie masz pary szarawarów, kurtki marynarskiej i okrągłego kapelusza?— To jest właściwy bilet wejścia do miejsc tego rodzaju. Ludzi elegancko ubranych, jeśli ich w ogóle tolerują, widzą tam niechętnie, uważają ich bowiem albo za kieszonkowych złodziei, albo za *gents*, a ani z jednymi, ani z drugimi nie chcieliby mieć do czynienia.

— Jak się zdaje, znasz tam wszystko dokładnie.

— Kochany przyjacielu, rzekł Tom, jeśli sądzisz, że bawić się można tylko w tak zwanem *przyzwoitem towarzystwie* lub w *haute volée*— w wielkim jesteś błędzie. Najprzyjemniejsze moje wieczory spędziłem w sposób przeciwny, bo rzeczywisty marynarz, marynarz od urodzenia jest niezrównanym zuchem. Prosty i szorstki, ale zarazem otwarty i uczciwy, i dlatego często więcej cenię jego mały palec, aniżeli całe nasze znakomite i napuszone towarzystwo z City. Chodź tylko ze mną, a zpewnością tego nie pożałujesz.

— Ale nie mam ubioru marynarskiego.

— Za dziesięć talarów dostaniesz cały ubiór, który ci się i później przydać może. Do przechadzki wieczornej nic lepszego, jak gruba kurtka marynarska zamiast okrycia. Chodź, ja ci to wszystko załatwię. Godzinkę możemy jeszcze być w teatrze, a potem zmetamorfozujemy się. Zobaczysz, jak miły to będzie żarcik.

— Zgadzam się, rzekł Jerzy, biorąc przyjaciela pod rękę, pal dyabli wszystko, bylebyśmy się tylko ubawili. Chodźmy Tom, i przez dzisiejszy wieczór bądź moim przewodnikiem.

Obaj młodzieńcy przeszli wzdłuż ulicę Brodway, wstąpili po drodze do jednej z licznych kawiarni, potem zaś kupili sobie ubiór marynarski, który wszędzie w bliskości morza jest do sprzedania. Jerzy na miejscu zaraz się przebrał i polecił kupcowi, ażeby rzeczy, które złożył, odesłał do wskazanego mu mieszkania. Tylko zegarek i pieniądze zatrzymał przy sobie, wziął je jednak do bocznej kieszeni, by nie skusić kogoś do kradzieży. Zostawił sobie także na palcu mały pierścionek brylantowy, którego kamień zwrócił ku wewnętrznej stronie ręki, by z zewnątrz nie mógł być dostrzeżony. Zwyczajne zaś obrączki złote noszą przecież i marynarze. Następnie Jerzy udał się do kawalerskiego mieszkania Toma, gdzie ten ostatni również się przebrał. Nareszcie rozpoczęli dzisiejszą swą wędrówkę—zazwyczaj przez młodzież w Ameryce *Spree* zwaną, od tego, że poszli do teatru na tanie miejsce trzeciego rzędu, gdzie wsunęli się pomiędzy tłum innych żeglarzy. Jerzy predtem nigdy jeszcze tu nie był i dlatego szczególną mu to sprawiało przyjemność, że mógł z wysoka, całkiem nie spostrzeżony przypatrywać się ruchowi na dole i słuchać uwag rzucanych dokoła.

W teatrze jednak zatrzymali się niedługo; do szynków bowiem marynarskich nie należało im także przybyć zbyt późno, jeżeli nie chcieli narazić się na niebezpieczeństwo napotkania samych pijaków. Przybywszy zaś na miejsce około dziewiątej, mogliby z godzinkę jeszcze bawić się bardzo dobrze. Spodziewali się tam w każdym razie zastać dziwne, a przynajmniej dziwaczne charaktery, i jeśli już nic więcej to znaleźć pewną odmianę w dosyć jednostajnem swem życiu.

Przyszedłszy nad morze widzieli wprawdzie szynków nie mało, a w nich niesforne tłumy murzynów, lecz nie tego szukali. Wstąpili też do trzech lub czterech z tych miejsc, ale w nich nie pozostali. Dla niezwrócenia tylko uwagi kazali podawać sobie w każdym po kieliszku wódki, wypijali trochę a upatrzywszy chwilę, resztę wylewali na podłogę.

W jednym z szynków siedział jakiś człowiek podobny na żeglarza, wyglądający prawie jak kapitan niewielkiego statku. Ten też przemówił do nich, to jest zapytał, z jakiego okrętu pochodzą, oraz, czy dopiero przybyli, czy też wybierają się w drogę.—Jerzy milczał, bojąc się wyrwać z czemś niepotrzebnem, ale Tom, więcej oswojony z tego rodzaju ludźmi, odpowiedział mu, że są wolni, i że chcieliby tylko trochę rozejrzeć się po lądzie. Poczem pożegnali go zwykłem u żeglarzy: „good bye Mate" i opuścili izbę.

Gdzieindziej jednak nie więcej mieli szczęścia. Nie mogli jakoś trafić na miejsce pobytu prawdziwych żeglarzy, którzy, mając trzos pełen pieniędzy, znaczną ich część zazwyczaj po-

święcają na zabawę. Pocóżby bowiem mieli oszczędzać? Za kilka dni zapewne znów kołysać się będą po rozhukanem morzu, a wtedy, któż im powie, czy jeszcze kiedy na ląd powrócą? Dopóki zaś mogą cieszyć się życiem, pragną używać go w pełni, a na to stosowniejszych nie znajdą miejsc nad podobne knajpy.

— Słuchaj, Tom, rzekł wreszcie Jerzy, gdy już bezskutecznie zwiedzili sześć albo siedem karczem, bieganina ta zaczyna mi się przykrzyć. Myślałem, że masz tu znajomości jakie, tymczasem widzę, że wiesz tyle co i ja. Dodrawdy, niepotrzebnie kupiłem ubiór marynarski. Chodźmy lepiej do domu, bo jestem znużony, a nieokrzesanie, z jakiem tu się zewszech stron spotykamy staje mi się nie znośnem.

— Hallo, Mates! — usłyszeli głos wołający za nimi, a odwróciwszy się poznali tego samego żeglarza, z którym przedtem już prowadzili rozmowę — zdajecie się nie znać tu drogi, odezwał się, czy szukacie kogo?

— Nikogo nie szukamy Mate, odpowiedział Tom, który już wieczór dzisiejszy miał za stracony— ale chcielibyśmy znaleść przyzwoite jakieś towarzystwo — prawdziwego *sailores uin*, gdzieby było czego posłuchać i gdzieby można spotkać się ze starymi zuchami. W karczmach jednak, któreśmy dotychczas zwiedzili, jakoś nie bardzo ponętnie, Czy nie znacie jakiego rzeczywistego *sailors home?*

— Pytanie czy znam, *my fine fellows*, zaśmiał się stary, ótoż znam i to taki kąt, w którym dziś wieczór właśnie wesoła zbiera się gromada. Ludzie z dwóch okrętów—jednego wybierającego się na połów wielorybów, drugiego płynącego do Indyi Wschodnich. Oba, skoro świt odbijają od brzegu, załoga więc ich chce jeszcze trochę pobujać po lądzie. Chodźcie tylko ze mną, — a że dostaniecie tam uczciwą szklankę grogu i zastaniecie ładne dziewczęta, za to ja wam ręczę.

— Znaleźlimy nareszcie, kogośmy szukali, rzekł ze śmiechem Tom, chodź Jerzy — trudno sobie życzyć lepszego przewodnika. W górę kotwica, staruszku i *headway*. Czy to daleko stąd?

— O długość liny kotwicowej, a nawet i tyle nie — gdy staniemy tam na rogu będziemy mieli przystań przed sobą; nadedrzwiami wisi czerwona lampa, tak, że zabłądzić nie podobna.

Postępował śmiało przed mniemanemi żeglarzami, a po niedługiej rzeczywiście drodze stanęli przed małym, schludnie wyglądającym domkiem, nadedrzwiami którego w miejsce szyldu ukośnie zawieszoną była świecąca się kotwica. Sami byliby pewnie nie znaleźli tego miejsca, gdyż od ulicy przynajmniej, nic nie zdradzało, że tam sprzedawano trunki. Przewodnik ich jednak, dobrze widać z domem tym był obeznany. Przeprowadził ich przez korytarz słabo oświetlony i zwrócił się ku drzwiom, z pozoru których zdawało się, iż wiodą na dziedziniec, potem zaś, mówiąc: Tu za mną, Mates, otworzył drugie drzwi na prawo, skąd ich zaraz na wstępie wesoła, przeplatana śmiechem, doleciała gawęda.

Skoro jednak tylko próg przestąpili, spostrzegli, że tu właśnie znaleźli to czego szukali, gdyż „*Jak*" [1]) był tu w swoim żywiole, a nieżeglarze pewnoby tu nie mieli wstępu.

Był to pokój niewysoki, ale szeroki dosyć, o trzech oknach, z których każde gęstą zasłoną było zawieszone i zdawało się wychodzić na podwórze. Stały tam dwa stoły długie a wąskie, w dwóch zaś kątach części przedniej mieściło się kilka stołów pomniejszych, w około których twarde ławki zajęte były przez gości, jak się zdawało, stałych lub z innego względu uprzywilejowanych. Wszystkie sprzęty były w tym samym guście, ze zwykłego drzewa dębowego czy jodłowego, prostej roboty stolarskiej, ale za to porządnie i czysto utrzymywane. Były nawet firanki u okien, a na ścianach wisiały piękne lustra i obrazy w dużych złoconych ramach. Na obrazach po większej części przedstawione były potyczki morskie z dawnych wojen amerykańskich. Na piecu, dotychczas jeszcze nieużywanym, stało kilka małych statuetek, z których jedna wyobrażała Waszyngtona, druga— jako *pendant* nieszczególnie odpowiedni — Aryadnę z Naxos. Obok tego w rozmaitych miejscach rozstawione były krzewy i doniczki a na ścianach tu i owdzie zawieszone zielone wieńce, co w każdym razie pokój czyniło miłym i ozdobnym.

Nie trzeba jednak mniemać, aby gospodarz człowiek kościsty, który ciągle jeszcze ręce tak miał wyciągnięte, jakby co tylko miał schwytać linę okrętową, który stracił jedno oko przy połowie wieloryba, a nogę, śród rozbicia na morzu chińskiem — sam tyle miał gustu, że dla własnego zadowolenia urządził to wszystko. Była to czysta spekulacya z jego strony. Znał bowiem zbyt dobrze dawnych towarzyszy swoich, by nie wiedzieć czem ich zwabić.

Marynarzom na parowcach, bezustanie żeglującym pomiędzy jednym lądem a drugim, którzy tyleż prawie czasu spędzają na stałym lądzie, co na morzu, dosyć obojętnem jest miejsce wytchnienia po powrocie. Przeciwnie marynarze *dlugiej podróży* udający się do Indyi Wschodnich lub Chin, szczególniej zaś jadący na połów wieloryba, którzy często bawią dwa, trzy lata lub więcej i prawie cały ten czas pozostają na morzu, a przynajmniej na pokładzie swoich okrętów, tacy powróciwszy wreszcie, z utęsknieniem szukają, jak mówią sami, „przyjemnego kąta." Pragną znów ujrzeć firanki u okien, pragną widzieć kwiaty i zieloność, dlatego spekulacya Barclay'a, gospodarza, celem zjednania sobie swych gości za pomocą podobnych, małych i niewinnych z pozoru wybiegów, była wcale nieźle obmyślaną. Retmani i podsternicy wielkich okrętów zaczęli protegować jego zakład, że zaś jedni marynarze polecali go drugim — przeto duży ów pokój co wieczór tak był pełny, jak dziś, kiedy młodzieńcy nasi, wszedłszy, zastali zajęte wszystkie miejsca wokoło stołów.

— Hallo, Baas! wołano ze wszech stron na ich przewodnika, skoro się tylko pokazał w pokoju oświetlonym gazem, już znowu *on the look out?* — Pójdź, Mates, tu jest miejsce, możemy się posunąć trochę.

Jerzy rzucił okiem na ten pokój napełniony dymem tytuniowym i musiał przyznać, że warto było wybrać się tu choć w przelotne odwiedziny. Zgromadzenie składali prawdziwi, czystej krwi, *theer-jakes;* szorstkie, silne, od słońca ogorzałe postacie, o otwartem i wyzywającem spojrzeniu, po większej części bez kurtek, w czerwonych albo niebieskich koszulach wełnianych, których kołnierze luźno spięte czarnemi jedwabnemi chustkami pozwalały widzieć szyję brunatną i część szerokiej piersi. Przytem pięści, któremi ujmowali cienkie szklanki mieli takie, iż strach był co chwila, żeby słabego szkła nie zgnietli.

Wpośród nich siedziały na przemiany młode dziewczęta, będące drogim skarbem zebranych tu marynarzy; postępowały one niemniej śmiało i otwarcie, jak ich towarzysze, a niektóre z nich równie pilnie i spokojnie jak oni bawiły się szklanką i paliły cygara.

Nadewszystko jednak ciekawem było słuchać, jak wszyscy bez ładu i kolei śmieli się i gawędzili, tudzież jak nieraz rozlegał się głośny śmiech gdy stary „*tar*," uderzając pięścią w stół, z miną najpoważniejszą wświecie, rozpowiadał dziwaczne swoje historye!

(*d. c. n.*)

[1]) W Ameryce po większej części nazywają marynarzy *Jak.*

ROZMAITOŚCI.

P. Henryk Siemiradzki, znakomity nasz ziomek, malarz, znany szczególniej w Warszawie, z wystawionego niedawno swego arcydzieła „jawnogrzesznica," bawiący obecnie na studyach w Rzymie, ma, jak donosi Gazeta Polska, przybyć niezadługo, i stale się osiedlić w naszym grodzie.

Oryginalne Towarzystwo. Duch stowarzyszenia — potężna dźwignia nieznana innym wiekom, szerzy się z dniem każdym coraz więcej, dzięki bujnej fantazyi i pomysłom spekulantów. W Paryżu zawiązało się obecnie Towarzystwo ubezpieczeń piękności kobiecej! Każda z kobiet od 15 do 30 lat, będąc jego uczestniczką, w razie utracenia wdzięków, ma sobie zapewnione stosowne wynagrodzenie.

Nowe Skwery. Miasto nasze coraz ściślej się zabudowywa, tradycyjne ogródki śród jego murów coraz bardziej znikają, przy takim więc stanie wysadzanie ulic drzewami, stało się koniecznością bardzo pożądaną. To też zadecydowano obecnie urządzenie dwóch skwerów: w rynku Starego Miasta, oraz na Placu Wareckim, przed szpitalem Dzieciątka Jezus. Koszta tego ostatniego obliczono na 2,300 rs.

Ludność kolonii angielskich, podług ostatnich statystycznych obliczeń, wynosi około 202,405,690, z tych na same Indye przypada 190,663,623 mieszkańców.

W klasztorze Jasnogórskim z powodu odpustu w święto Narod. N. M. P., przybywało przeszło 160 tysięcy pielgrzymów, w dzień samej uroczystości było ich jednocześnie 135 tysięcy. Tak licznego zgromadzenia już dawno nie pamiętają.

Miasta dla robotników. Municypalność m. Amsterdamu żywo zainteresowana losem klasy robotniczej, mieszczącej się po większej części w niezdrowych piwnicach, gorliwie zajmuje się projektem urządzenia wyłącznie dla robotników przeznaczonych mieszkań. W tym celu ofiarowała jednemu z filantropijnych towarzystw 1,800,000 guldenów, na pobudowanie i urządzenie zdrowych miasteczek. Lokatorowie, po pokryciu tego kredytu, będą mogli stać się właścicielami zajmowanych domków.

Projekt dopuszczenia kobiet sposobem próby, do zajęć biurowych w zarządach policyjnych i sądach polubownych, jest obecnie rozpatrywany, jak donosi gazeta „Ruskij Mir," w wyższych sferach administracyjnych.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel**.